

Robert Anton Wilson

KOSMICZNY SPUST
CZYLI
TAJEMNICA ILUMINATÓW

w przekładzie Dariusza Misiuny



Warszawa 2004

Robert Anton Wilson
Cosmic Trigger I: Final Secret of the Illuminati
Copyright © New Falcon Publications 1977

*Original edition published by New Falcon Publications,
1739 East Broadway Road #1-277, Tempe, AZ 85282, U.S.A.*

ilustracje
John Thompson

redakcja stylistyczna
Mateusz Janiszewski

projekt graficzny okładki
Joanna John

skład i projekt serii
Wojciech Benicewicz

pomoc techniczna
Mateusz Przepiórkowski
Tomasz Andrzejewski

Copyright © for the Polish edition
by Okultura, Warszawa 2004

Wydanie I
ISBN 83-88922-07-6

Wydawnictwo Okultura
skr. poczt. 435, 00-950 Warszawa 1
www.okultura.terra.pl



PROLOG:

Myślenie o tym,
co nie do pomyślenia

Wszystko, co wiesz, jest nieprawdą.
- The Firesign Theatre

Myślenie o tym, co nie do pomyślenia

Historia ta mogłaby się zacząć jak u nieboszczyka Lovecrafta: Mija przeszło trzynaście lat od tego przekłętego dnia, gdy po raz pierwszy zainteresowałem się potwornymi opowieściami o dziwacznych Iluminatach Bawarskich, grupie spiskowców, rzekomo rządzącej światem. Gdy podejmowałem to wyzwanie, podobnie jak bohaterowie Lovecrafta nie wiedziałem o czekających mnie zagrożeniach, sądziłem raczej, że prowadzę badania nad ciekawym przypadkiem politycznej paranoi. Miałem nadzieję odnaleźć psychologiczne wyjaśnienie faktu, czemu niektórzy zdawało by się zdrowi psychicznie ludzie wierzą w tak absurdalnie śmieszne teorie spiskowe.

Zwieńczeniem moich wczesnych poszukiwań była trylogia *Iluminatus!*, którą napisałem wspólnie z Robertem J. Sheą. I choć po napisaniu tak opastej książki powinienem swoją uwagę skierować ku innym tematom, to jednak zlakniony dalszych odkryć coraz bardziej zgłębiałem mroczne macki ogólnoświatowego spisku. (Niech zagrają organy!) Iluminaci nie dawali mi spokoju – nie mogłem o nich zapomnieć, tak jak nie zapomina się widoku tarantuli w łóżku ani śmiechu kobiety, którą się niegdyś kochało. Bardzo irytowało to Sceptyka – jedną z dwudziestu czterech zamieszkujących mnie jaźni, jedyną posiadającą prawo weta wobec innych jaźni.

Moje zainteresowania iluminatami zaprowadziły mnie ostatecznie do kosmicznego wesołego miasteczka, wypełnionego podwójnymi i potrójnymi agentami, kosmitami, różnymi wersjami mordy na prezydencie, niezrozumiałymi symbolami na jednodolarówce, przekazami z Syriusza, naleśnikami niewiadomego pochodzenia, tajemnicami Aleistera Crowleya, dziwnymi sokołami tropiącymi Uriego Gellera, futurystami, immortalistami, planami opuszczenia tej planety oraz najnowszymi paradoksami fizyki kwantowej. Była to długa, ekscytująca podróż, przypominająca szukanie kobry w ciemnym pokoju.

Historia, którą już wkrótce wam opowiem, wiąże się z pewnym wydarzeniem mającym miejsce dwa wieki temu. 1 maja 1776 roku dr Adam Weishaupt, były jezuita, profesor prawa kanonicznego na Uni-

wersytecie w Ingolstad założył w Bawarii stowarzyszenie tajemne o nazwie Zakon Iluminatów. Owo sprzysiężenie egzystowało początkowo *w strukturach* niemieckich łóż masońskich. Jako że sama masoneria stanowi stowarzyszenie tajemne, Iluminaci byli stowarzyszeniem tajemnym wewnątrz stowarzyszenia tajemnego, można by rzec, tajemnicą ukrytą w tajemnicy. W 1785 roku bawarski rząd położył kres działalności Iluminatów, oskarżając ich o spisek w celu obalenia wszystkich monarchów europejskich z papieżem na czele. Co do tych wszystkich faktów istnieje między historykami zgoda, reszta natomiast jest kwestią czystej spekulacji i budzi liczne kontrowersje.

Twierdzono mianowicie, że dr Weishaupt był ateistą, kabalistą, racjonalistą, mistykiem; demokratą, socjalistą, anarchistą, faszystą; makiawelistą, alchemikiem, totalitarystą i „entuzjastycznym filantropem”. (Tak na marginesie, ostatnią etykietkę nadał mu Thomas Jefferson.) Iluminatom przypisywano wywołanie rewolucji francuskiej i amerykańskiej. Mówiono, że chcą przejąć władzę nad światem. Co bardziej pomysłowi ludzie uważali, że to Iluminaci wymyślili komunizm. Inni twierdzili, że Iluminaci są czcicielami szatana i pozostaną w ukryciu, aż do dnia sądu ostatecznego.

Istnieją pewne teorie, według których Zakon Iluminatów nie był tworem Weishaupta, lecz starożytnym stowarzyszeniem, ożywionym przez tego przebiegłego profesora w czasach nowożytnych. Początków tego spisku doszukiwano się wśród templariuszy, greckich i gnostryckich kultów inicjacyjnych, w Egipcie, a nawet w Atlantydzie. Jedno jest pewne – Weishauptowi udało się utrzymać cele stowarzyszenia w tajemnicy. Nie ma dwóch takich badaczy spisku iluminackiego, którzy byliby zgodni co do „wewnętrznej tajemnicy” zakonu, czyli jego misji. Literatura tego przedmiotu przepelniona jest paranoiczną pedanterią, a na fali sensacji od 1776 roku¹ każde kolejne pokolenie produkuje nowe teorie spiskowe. Gdyby uwierzyć w całą tę literaturę sensacyjną, trzeba by przyjąć, że ci przekłęci Iluminaci Bawarscy ponoszą odpowiedzialność za całe zło na świecie, włącznie z kryzysem energetycznym oraz niedzielnym fajrantem hydraulików.

Pierwszy przykład anty-iluminackiej histerii w Ameryce pochodzi z lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku, kiedy to fanatyczni federaliści

ubzdurali sobie, że Thomas Jefferson i jego partia demokratycznych republikanów to agenci europejskich iluminatów. Następnym wielkim wybuchem „ujawnień” nastąpił w latach czterdziestych XVIII wieku za sprawą Partii Antymasońskiej, której członkowie wierzyli, że iluminaci kontrolują masonerię i wszystkie szczeble władzy. W obu przypadkach iluminatów przedstawiano jako radykalnych demokratów bądź anarchistów będących spadkobiercami lewackiego skrzydła rewolucji francuskiej. Natomiast współczesna literatura anty-iluminacka, którą rozpowszechnia przede wszystkim antysemita, paramilitarna prawica, przedstawia iluminatów jako mistrzów zarówno międzynarodowego komunizmu, jak i międzynarodowej finansjery. Czasami zdarzają się jeszcze dziwniejsze teorie ujawniające, że iluminaci to naziści, czarni magowie, groźni telepaci i sataniści. Nie wyczerpuje to wszakże gamy tonów, z których składa się anty-iluminacka symfonia. Oto na przykład Philip Campbell Argyle-Smith, redaktor dziwnego magazynu *High IQ Bulletin* głosi, że iluminaci, występujący na naszej planecie pod nazwą „Żydów”, są tak naprawdę najeźdźcami z planety Wulkan. Widziałem też książkę dowodzącą, że iluminaci to owoc spisku jezuitów, którzy przeniknąwszy szeregi wolnomularstwa, usiłują pod płaszczykiem masonerii przejąć władzę nad światem. Wedle tej błyskotliwej teorii masoneria jest agendą Watykanu, a wszystkie papieskie ekskomuniki i cała anty-masońska retoryka to, rzecz jasna, tylko swoista zasłona dymna.

W literaturze poświęconej tropieniu spisku iluminackiego występuje jeszcze jeden wspólny motyw. Otóż prawie wszyscy autorzy są zgodni, że „ludziom, którzy za dużo dowiedzieli się o Iluminatach Bawarskich, przydarzają się niewytłumaczalne wypadki”. (W tym miejscu należy ponownie pogłośnić muzykę organową i wybuchnąć złowieszczym chichotem.)

Pewnego razu, gdy wziąłem udział w dyskusji radiowej na temat spiskowych teorii dziejów, pewna kobieta zadzwoniła do studia, twierdząc że skoro tak wiele wiem na temat iluminatów, muszę być jednym z nich.

W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego jak nabrać pozorów tajemniczości. „Być może, największą tajemnicą iluminatów jest to, iż

gdy ktoś dowiaduje się, że jest ich członkiem, jest już za późno, żeby się wycofać”.

Niestety, dla podejrzliwej kobiety była to zbyt abstrakcyjna odpowiedź. Teraz miała już pewność, że jestem jednym z nich: „O tak, to właśnie wy kontrolujecie Bank Centralny oraz banki Morgana i Rockefellera” – wykrzyknęła triumfalnie, ciesząc się ze swojego odkrycia.

„Cóż” – odezwał się we mnie Satyryk, zajmując miejsce Sceptyka – „nie mogę temu zaprzeczyć. Mogę co najwyżej poprawić stan swego konta”.

Bardzo prawdopodobne, że moja rozmówczyni do dzisiaj opowiada swoim znajomym, w jaki sposób skłoniła jednego z iluminatów do wyznania prawdy na fali eteru.

W chwili obecnej muszę przyznać, że nie odrzucam i nie przyjmuję istnienia iluminatów. Pozwolę sobie pokrótce wytłumaczyć to dziwne stwierdzenie. Otóż, gdy bada się spiski okultystyczne, w sposób nieuchronny dochodzi się do rozdroża, które specjaliści nazywają „Niebezpieczną Kapliczką”. Możesz z niej wyjść jako paranoik albo zostać agnostykiem. Nie ma trzeciej drogi. Wybrałem agnostycyzm.

Niebezpiecznej Kapliczki, podobnie jak tajemniczej istoty co się zowie „Ja”, nie da się zlokalizować w czasoprzestrzeni. Nie posiada ona wagi, zapachu ani smaku. Nie wykryje jej żaden instrument. Nie można też zaprzeczyć jej istnieniu. A kiedy już się w niej jest, to jeszcze trudniej wydostać się z niej niż z ego. Staje się to możliwe dopiero wtedy, kiedy zrozumie się, że to nasze myśli nadają moc jej istnieniu. W Niebezpiecznej Kapliczce czekają na nas szczerząc zęby *wszystkie nasze łęki*. Jeśli jednak uzbroimy się w różdżkę intuicji, puchar współczucia, miecz rozumu i pentakl odwagi to, jak głosi legenda, odnajdziemy tam lek metali, eliksir życia, kamień filozoficzny, prawdziwą mądrość i doskonałe szczęście.

Język mitu zdumiewa poetycką precyzją. I tak na przykład, kiedy wchodzi się do tego świata bez miecza rozumu, popada się w szaleństwo, posiadając zaś tylko miecz rozumu bez pucharu współczucia, jest się skazanym na bezdusność. A co jeszcze bardziej zadziwiające, brak różdżki intuicji uniemożliwi nam zauważenie, że oto właśnie stoimy u bram tego świata. Będziemy tak stać przez wiele lat, sądząc że czeka-

my na autobus, chodzimy po pokoju w poszukiwaniu papierosów, oglądamy telewizję, bądź czytamy *niezwykłą tajemną księgę*. Niebezpieczna Kapliczka lubi płać tego rodzaju figle.

Nic więc dziwnego, że do Niebezpiecznej Kapliczki wstąpiłem całkiem przypadkowo. Stało się to pewnego dnia w 1971 roku podczas lektury *Księgi Kłamstw*,² napisanej przez angielskiego mistyka, Aleistera Crowleya. Osobą Crowleya zainteresowałem się ze względu na to, że był on wielkim adeptem tak jogi jak i okultyzmu, cieszył się sławą czarnego maga i proroka nowej ery, oraz miał reputację heroicznego himalaisty, poety, biseksualnego proto-hippisa, alchemika, sadystycznego żartownisia, cudotwórcy i szarlatana. W sposób szczególny urzekła mnie opowieść o tym, jak pewnego razu Crowley przemienił Victora Neuburga w wielbłąda. Intrygowały mnie również zeznania świadków pewnego wydarzenia, które miało miejsce w Oxfordzie, kiedy to Crowley rozbił szklankę, wpatrując się w nią swoim wzrokiem. Najważniejsze jest jednak to, że książki Crowleya są mądre, błyskotliwe, pełne polotu i poczucia humoru, a jednocześnie tajemnicze i zagadkowe. Jedna z nich wszakże przewyższa pozostałe pod względem dziwaczności i ilości kalamburów – to właśnie *Księga Kłamstw*. A ponieważ uwielbiam rozwiązywać zagadki i tajemnice, jest to moja ulubiona książka Crowleya.

Na tytułowej stronie *Księgi Kłamstw* znajduje się nonszalancka uwaga: „Znak firmowy wydawcy nie posiada żadnego ukrytego znaczenia ani nie jest żartem”. Złowieszczą brzmią te słowa, które tak naprawdę są pierwszym kłamstwem w tej książce. Jak wykazał Francis King, historyk okultyzmu, data jej wydania różni się co najmniej o rok od tej podanej w stopce. Crowley lubi prowadzić tego rodzaju grę z czytelnikiem. Wielokrotnie świetnie się ubawiłem rozszyfrowując podobne żarty w innych jego książkach. Tym niemniej, zawsze powracam do *Księgi Kłamstw*, ponieważ według Crowleya w książce tej jest gdzieś ujawniona tajemnica wewnętrzna masonerii i iluminizmu, którą mogą rozszyfrować jedynie ludzie dysponujący „duchowym wglądem”. Przez wiele lat starałem się bezskutecznie odkryć tę tajemnicę, jako że Crowley przez wielu³ jest uważany za przywódcę iluminackiego spisku. Udało mi się ją rozszyfrować dopiero w 1971 roku, w nagłym przebłysku olśnienia, które było swego rodzaju małym satori.

Tajemnica Crowleya znajdowała się w rozdziale 69 i dotyczyła seksu tantrycznego. Wyjaśnię ją w dalszej części tekstu. Na skutek tego odkrycia przestałem uważać anty-iluminackich autorów za zwykłych paranoików. Wiedziałem już, że szukają czegoś realnego, tylko źle to interpretują. Brakowało im pentaklu odwagi, przez co stali przed Niebezpieczną Kapliczką pełni przerażenia, ostrzegając wszystkich, którzy się do niej zbliżali, że jest ona skonstruowaną przez demony śmierci maszyną, ociekającą cuchnącą zieloną mazią i pełną koszmarnych insektów.

Natychmiast postanowiłem zabrać się za serię eksperymentów neuropsychologicznych, które, jak sądziłem, obiektywnie wykazałyby, czy naprawdę odkryłem prawdziwą tajemnicę. Zasadnicze wnioski z nich płynące przedstawiam w tej książce. Koniec końców, między czerwcem 1973 a październikiem 1974 roku uwierzyłem w to, że otrzymuję przekazy telepatyczne od istot zamieszkujących planetę układu podwójnej gwiazdy Syriusza.

Oczywiście, towarzyszył temu cały szereg koincydencji potwierdzających związki między tajemniczymi dziejami iluminatów a koncepcjami okultystycznymi na temat Syriusza. Te „szczęśliwe zbiegi okoliczności”, czy też jak nazywają je jungiści „synchroniczności”, zdarzają się bardzo często ludziom zaangażowanym w tajemne stowarzyszenia okultystyczne, w szczególności zaś tym, którzy weszli do Niebezpiecznej Kapliczki.

Jak zauważa Neal Wilgus w *The Illuminoids*:

Od samego początku, kiedy tylko zacząłem pisać *The Illuminoids*, towarzyszył mi szereg dziwnych zbiegów okoliczności, począwszy od odkrycia *Stowarzyszeń Tajemnych* Daraula... aż po publikację *Illuminatusa* Shei i Wilsona... We właściwym czasie odkryłem książkę innego Wilsona, *Okultyzm* Colina Wilsona, i często „otwierałem ją na odpowiedniej stronie”, co przydarzało się też samemu Wilsonowi.⁴

To ostatnie zdanie świetnie pasuje do szeregu niejasności, którymi wkrótce się zajmiemy. Nie jestem nawet pewien, czy odnosi się ono do mnie, czy do Colina Wilsona.

W październiku 1974 roku poznałem dr. Jacquesa Valleego, wybitnego astronoma, cybernetyka i ufologa. Dzięki tej znajomości wypracowałem nowe interpretacje moich przeżyć związanych z Syriuszem. Nie byłem już tak silnie przekonany, że otrzymuję bezpośrednie przekazy z telepatycznego nadajnika umiejscowionego w systemie gwiazdowym Syriusza.

Dr Vallee interesuje się niezidentyfikowanymi obiektami latającymi od początku lat sześćdziesiątych, kiedy to ujrzał dwa „latające spodki”. Za materiał badawczy służą mu nie tylko zeznania ludzi, którzy bezpośrednio zetknęli się z UFO, lecz również przypadki „kontaktów mediumistycznych”, do których i moje przeżycia mogą się zaliczyć. Vallee jest przekonany, że całe to spektrum kontaktów „pozaziemskich” miało już miejsce w dalekiej przeszłości i wcale niekoniecznie musi mieć związek z kosmitami. Fakt, że większość współczesnych wizji obejmuje kontakty z kosmitami jest tylko efektem dwudziestowiecznej wyobraźni, bowiem w innych epokach według Valleego zjawiska te przybierały odmienne formy.

Muszę przyznać, że bardzo odpowiadała mi ta wizja, jako że już wcześniej miałem kontakty z „nieznaną istotą” za pośrednictwem crowleyowskiego systemu magii. Trudno mi było zatem uwierzyć w jakieś pozaziemskie źródła tego zjawiska, które w średniowieczu mogło przyjmować postać aniołów a w XIX wieku zmarłych przemawiających za pośrednictwem medium. Był to po prostu ostatni model tego doświadczenia.

Wtedy to nagle, 13 marca 1976 roku natknąłem się w *San Francisco Examiner-Chronicle* na notkę, która całkowicie wstrząsnęła moim umysłem. Czułem się jakbym po wejściu do swego domu ujrzał Bezlitosnego Minga strzelającego we Flasha Gordona.

Notka ta dotyczyła Roberta K.G. Temple’a, członka angielskiego Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego, szanowanego naukowca, który ogłaszał światu dziwną teorię mogącą wyjść spod pióra samego von Dänikena. Temple twierdził, że około 4500 lat p.n.e. ziemię odwiedziła wysoce cywilizowana rasa, która pochodziła z planety w systemie podwójnej gwiazdy Syriusza. Swoje twierdzenia opierał na fakcie, że już w mitologii Babilończyków, Egipcjan i niektórych

afrykańskich plemion można odnaleźć *bardzo dokładny, specjalistyczny* opis systemu Syriusza. Była to wiedza, którą współczesna astronomia zgromadziła przy pomocy bardzo czułych instrumentów zaledwie w ostatnich dwóch dekadach.

Taka rewelacja musiała być szokiem dla każdego szanującego się naukowca, gdyż oto okazało się, że tej klasy astronom co Temple może wygłaszać teorie żywcem wzięte z newage'owych brukowców. Nie byłem jednak tym zdumiony. Byłem oszołomiony.

Kilka dni później wspomniałem o tych nowinach mojemu przyjacielowi, wybitnej klasy fizykowi, Saulowi Paulowi Siragowi, którego wiedza z dziedziny nauk ościennych była zwykle znacznie większa od specjalistów w tych dziedzinach. Ku memu zaskoczeniu, Saul Paul powiedział mi: „To żadna rewelacja. Antropolodzy od dawna wiedzieli, że pewne afrykańskie plemiona posiadają bardzo szczegółowe informacje na temat systemu Syriusza. Na przykład, niektóre z nich dysponowały wiedzą na temat towarzysza Syriusza, białego karła, wiele lat przed tym, zanim odkryły ją nasze teleskopy”.

Zapytałem zdziwiony: „Jak sobie to tłumacza antropolodzy?”

„Nijak” – odpowiedział z charakterystycznym uśmiechem Grocho Marxa. „Uważają, że nie da się tego wytłumaczyć”. Saul Paul, który zanim został fizykiem był teologiem, jest również autorem satyrycznej powieści teologiczno-psychodelicznej *Wykopany przez Jezusa*. Można uznać, że jest jeszcze bardziej dziwacznym okazem skrajnego agnostyka niż piszący te słowa. Saul uwielbia odkrywać dane, które nie pasują do żadnej z istniejących teorii.

Nie muszę dodawać, że szybko kupiłem książkę Temple'a.⁵ Jej lektura poważnie mną wstrząsnęła, gdyż rzeczywiście można z niej wywnioskować, że koło 4500 r. p.n.e. przybyli do nas ludzie z Syriusza. Temple podkreśla, że informacje o tym wydarzeniu były przekazywane w różnych stowarzyszeniach inicjacyjnych śródziemnomorskiego świata antycznego, Afryki i świata współczesnego. Zgromadzone przez Temple'a dane mogą świadczyć równie dobrze o kontakcie fizycznym, jak i o istnieniu międzygwiazdnej telepatii już w tych bardzo zamierzchłych czasach. Wydaje się więc prawdopodobne, że dzięki naukom tajemnym Crowleya mogłem podłączyć się do tego trwającego już prawie 6500 lat dialogu kosmicznego.

Jak już wspominałem, Niebezpieczna Kapliczka bywa zwodnicza. Kiedy wydaje ci się, że już z niej wyszedłeś, znajdujesz się w kolejnej sali pełnej iluzji, przez co zdaje ci się, że jesteś w bezpiecznym lasku na zewnątrz. Kiedy zaś masz wrażenie, że jesteś ponownie wewnątrz, może się okazać, że kroczysz już ścieżką powrotną do domu. To doświadczenie dobrze podsumowuje tradycyjne powiedzenie zen:

Na początku jest góra,
Potem nie ma góry,
Potem jest.

Oczywiście, nie oczekuję od nikogo, by uwierzył w przekazy z Syriusza tylko dlatego, że autor tej książki wydaje się być szczerym koleśkiem. Richard Milhous Nixon też kiedyś wydawał się być szczerym koleśkiem, przynajmniej tym, którzy na niego głosowali. Nie zamierzamy tutaj konkurować na rynku prawdziwych wyznawców z Nixonem czy Erichem von Dänikenem. Mamy tylko nadzieję wykazać, że *coś jest na rzeczy*. Coś bardziej namacalnego i oczywistego od halucynacji.

W tym momencie Semantyk podniósł brew i wymamrotał, że wyrażenie „coś bardziej namacalnego i oczywistego od halucynacji” nie oddaje prawdziwego sensu tej idei. Można by równie dobrze mówić o *czymś bardziej namacalnym i obiektywnym od zadumy*. Szczegółami zajmiemy się później. Na razie, zanim przejdziemy do dalszych spekulacji, możemy co najwyżej nakreślić obszar naszej niewiedzy. Przede wszystkim, należy powiedzieć wyraźnie, że wbrew temu, co się powszechnie wydaje, nasze dane nie są w konflikcie z „nauką”. W części drugiej tej książki przedstawimy kilka dowodów naukowych potwierdzających te roszczenia. Są one jednak w sposób dziwaczny i groteskowy całkowicie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Można powiedzieć, że „to jest cholernie śmieszne”, jednak kiedy padną kolejne typowo dziecięce pytania: „Masz na myśli ‘śmieszne do śmiechu’ czy ‘śmieszne bo dziwaczne’?”, będę musiał po dwakroć przytaknąć.

Posłużmy się lepiej przykładem czekających nas zagadek. Jedna z nich dotyczy „naleśników z kosmosu”. Oczywiście, wydaje się to równie śmieszne jak skrzydlate świnię, choć trudno rozstrzygnąć, czy jest to „śmieszne do śmiechu”, czy „śmieszne bo dziwaczne”.

Sprawa ta dotyczyła Josepha Simontona z Eagle River w stanie Wisconsin, który twierdził, że pewnego razu na jego podwórku wylądował statek kosmiczny, z którego wyszedł kosmita i dał mu naleśniki. Ponieważ nie było żadnych innych świadków tego niezwykłego wydarzenia, istnieje pokusa by uznać je za halucynację. Nie ma jednak powodów ku temu, by wierzyć, że Simonton kłamał, albowiem nie zależało mu na nagłośnieniu tej sprawy i wydawał się być nią mocno skrepowany.

W celu zbadania sprawy Simontona Siły Powietrzne wysłały do niego dr. J. Allena Hynka, sceptycznie nastawionego astronoma, który uważał UFO za efekt działania „oparów z moczarów”. Dr Hynek wziął od Simontona kilka naleśników do głównego ośrodka badań nad UFO, gdzie okazało się, że są to całkowicie normalne naleśniki z kiełkami pszenicy, sugerujące, jeśli już cokolwiek, to chyba dziwaczną skłonność kosmitów do kuchni makrobiotycznej. A jednak sam dr Hynek wierzy w jego zeznania i twierdzi, że Simonton mówi prawdę.

Tym samym przypadkiem zajął się dr Jacques Vallee. On również jest przekonany o szczerości Simontona.

I tylko Simonton nadal nie wie, dlaczego to właśnie on został obdarzony tym niezwykłym podarunkiem.⁶

Skoro więc Simonton miał tylko halucynacje, *skąd się wzięły te przekłete astralne naleśniki?* Oto pytanie do sceptyków. Pozostaje jednak jeszcze jedno pytanie. Skoro nawet przyjmujemy, że statek kosmiczny naprawdę wylądował na podwórku Simontona, to czemu, na brzuchatyh bogów Birmy, kosmici postanowili dać mu z tej okazji właśnie naleśniki? Zaiste, niejasna to i dziwna historia. Postaramy się ją jednak rozwikłać.

Przypadek Simontona, wbrew temu co mogłoby się wydawać, nie jest wcale taki znowu nietypowy dla kontaktów z UFO. W prasie i telewizji otrzymujemy jedynie cząstkę tego, co przekazują ludzie mający kontakt z UFO. Na dodatek są to najczęściej osoby, które stworzyły wokół siebie jakieś ruchy parareligijne niosące od kosmitów przesłanie na rzecz pokoju i ekologii. Miło się czyta takie raporty, ponieważ każdy z nas chciałby wierzyć, że kosmitom zależy na losie naszej planety. Tymczasem *większość kontaktów z UFO bardziej przypomina przypadki naleśników Simontona.*

Oto na przykład dwóch oficerów wywiadu marynarki wojskowej natknęło przyjazną istotę z Urana. Zdarzeniu temu towarzyszyła awaria radaru, tak jakby Niebezpieczna Kapliczka korzystała z technologii wymykającej się naszym urządzeniom. Naiwnych miłośników kosmicznych braci z pewnością ucieszyła ta wiadomość, tym bardziej że kontakt z UFO obejmował jak zwykle pokojowe przesłanie. Bardziej dociekliwi dostrzegają jednak pewne szczegóły, które czynią z tej historii opowieść o skrzydlatej świni: (a) na Uranie prawie na pewno *nie jest możliwe życie*, oraz (b) pozaziemska istota przedstawiła się imieniem, które każdej osobie obeznanej w kabale brzmi podejrzanie niczym żart. Było to imię „AFFA”, które w języku zwanym anielskim oznacza nicość albo pustkę. W tym przypadku na 99% mieliśmy do czynienia z kontaktem telepatycznym, choć oficerowie w kulminacyjnej chwili całego zdarzenia zobaczyli coś co wyglądało jak prawdziwy statek kosmiczny. Dokładnie w tym samym momencie nastąpiło zaciemnienie radaru.⁷

Inni doświadczali typowych „halucynacyjnych” bądź „psychotycznych” kontaktów z braćmi z kosmosu, takich jak spotkanie Jezusa w latającym spodku, czy półgodzinna wizyta w ubiegłym wieku. Pośpieszny badacz uznałby takie relacje za zwykły wymysł. A jednak niektórzy z tych ludzi posiadali dowody na to, że *coś* się zdarzyło, relacje niezależnych świadków mówiły o pojawieniu się UFO w tym samym czasie, w otoczeniu dochodziło do dziwnych zakłóceń elektrycznych. Na przykład pewnego razu dwaj ludzie z różnych rejonów kraju przyznali się do kontaktu z UFO, opowiadając taką samą dziwną historię o tym, jak to odwiedzili planetę „Lanalus” zamieszkiwaną przez nagie istoty człekokształtne. Ludzie ci wcale się nie znali – jeden był sprzedawcą z Zachodniej Wirginii, drugi zaś studentem prawa z Waszyngtonu.⁸ W takich przypadkach nawet najbardziej zagorzali redukcjoniści nie mogą sprowadzić wszystkiego do zjawiska halucynacji zbiorowej przez kontakt telepatyczny, ponieważ już samo takie sformułowanie groziłoby im zawałem serca. (Ciekawe, ilu należy zgromadzić niezależnych świadków, by nie można było nazwać ich relacji halucynacją zbiorową? Skądinąd Berkeley, Hume i inni filozofowie dowodzili, że nie można w sposób logiczny udowodnić realności naszego codziennego doświadczenia. Kiedy więc sceptyk nazywa halucynacją zbiorową te

same zeznania niezależnych świadków, musi chyba wyjaśnić ją poprzez telepatię. Pytanie tylko, czy to jeszcze solipsyzm, czy już paranoja?)

Zwykle powiada się, że obaj świadkowie kłamią, choć dosyć trudno jest wyobrazić sobie identyczne kłamstwo sformułowane przez dwie nie znające się osoby. Tym samym można by odrzucić dowolne dane, włącznie z wynikami eksperymentów laboratoryjnych, które nam nie odpowiadają. I tak na przykład ci, którzy odrzucają telepatię, przeczą albo szczerości albo zdrowemu rozsądkowi *kilku tysięcy* badaczy naukowych na wszystkich kontynentach. Ten sposób pozbywania się niewygodnych danych jest właściwy tylko najbardziej zagorzałym kreacjonistom należącym do sekt fundamentalistycznych.

Jak zapewne pamiętacie, obiecałem przytoczyć *kilka* naukowych wyjaśnień zgromadzonych tu danych. Nie ma bowiem jednej teorii, która wystarczyłaby do ogarnięcia całej różnorodności tych dziwnych zjawisk. Oto więc kilka idejek, które wpadły mi do głowy, gdy przemierzałem Niebezpieczną Kapliczkę:

Być może...

(a) zgromadzone tu dowody można wytłumaczyć przy pomocy teorematu Bella, czyli takiej przełomowej teorii w fizyce, która zakłada, że wszystkie rzeczy są w rzeczywistości niepodzielne. Model ten obejmuje trzy warianty: (1) świat tworzony przez obserwatora, (2) światy równoległe, (3) informację bez energii.

być może

(b) niektórzy ludzie o wysoko rozwiniętych mocach parapsychofizycznych („iluminaci”) bawią się umysłami innych ludzi, podając się czasami za (c) lub (d).

być może

(c) naprawdę manipulują nami wyżej rozwinięte istoty z kosmosu, najprawdopodobniej pochodzące z Syriusza (albo też jest to spisek iluminatów).

być może

(d) zawsze zamieszkiwaliśmy tę planetę z innym, niewidzialnym dla nas, inteligentnym gatunkiem, obdarzonym umiejętnością przybierania dowolnej postaci. John Keel, badacz UFO, nazywa te hipotetyczne istoty „ultraziemskimi”. Dawniej nazywano je wrózkami, aniołami, demonami, dziwakami, itd.

być może

(e) *uczymy się korzystać z nowych obwodów neurologicznych, które zmieniają nas w nadludzi.* Odkrywanie tych nowych obwodów przynosi dużo skutków ubocznych w postaci dziwactw współczesnego świata, z którymi musimy nauczyć się obcować. Taką teorię przedstawiają jogini o skłonnościach naukowych jak Sri Aurobindo, Gopi Kriszna oraz prof. Timothy Leary.

być może

(f) mamy jednocześnie do czynienia z kilkoma powyższymi możliwościami.

Niektóre dane pasują lepiej do jednej z tych teorii, inne pasują do wielu z nich, a jeszcze inne nie dadzą się wcale nimi wytłumaczyć. Najlepiej stosować podejście wielomodelowe, ponieważ wybór jakiegokolwiek teorii jest przedwczesny i grozi poznawczą porażką, zmuszając nas do ignorowania pozostałych danych – tych, które koniec końców mogą okazać się najważniejsze.

Jako pierwsi podejście wielomodelowe stosowali fizycy, a jego głównym przedstawicielem był laureat Nagrody Nobla, Niels Bohr. Podczas badań nad strukturami subatomowymi fizycy odkryli niezbite dowody świadczące o ich cząsteczkowej naturze. Nie byłoby w tym odkryciu nic nadzwyczajnego, gdyby po drodze nie zgromadzili wystarczającej ilości danych świadczących o ich falowym charakterze. Doprowadziło to do ostrego podziału świata fizyki na zwolenników teorii cząsteczek oraz zwolenników teorii fal. Sytuacja wydawała się bez wyjścia, ponieważ żadna ze stron nie chciała ustąpić drugiej. Tymczasem, ku wielkiemu zdziwieniu zwaśnionych fizyków, pojawiły się głosy mówiące o istnieniu „falocząsteczek”. *Niels Bohr pozwolił sobie wręcz na stwierdzenie, że próby szukania jednego modelu mają charakter średniowieczny, są przednaukowe i nic nie warte, ponieważ dopiero wtedy będziemy mogli zrozumieć zjawiska zachodzące w fizyce subatomowej, gdy zaakceptujemy możliwość istnienia kilku wyjaśnień.* Obecnie, podejście wielomodelowe przeniknęło do wszystkich dziedzin nauki, a nawet pojawiło się w sztuce współczesnej (np. obrazy kubistyczne przedstawiają kilka widoków równocześnie; *Ulisses* Joyce’a opisuje jeden dzień na różne sposoby: epicki, dramatyczny, reporterski, subiektywny, naturalistycz-

ny itp.). Marshall McLuhan twierdzi wręcz w typowym dla siebie apokaliptycznym stylu, że podejście wielomodelowe jest najważniejszym i najoryginalniejszym odkryciem intelektualnym XX wieku. Hrabia Alfred Korzybski mówił, że cechuje ono przejście od cywilizacji arystotelesowskiej (dogmatycznej, monistycznej, autorytarnej) do cywilizacji nie-arystotelesowskiej (relatywistycznej, pluralistycznej, libertariańskiej).

Dla naszej wygody możemy jednak wszystkie omawiane w tej książce modele streścić w dwóch meta-modelach. Pierwszy z nich twierdzi, że wszystko jest tworem naszych systemów nerwowych, kiedy więc przechodzimy na wyższy poziom istnienia, nasze mózgi coraz skuteczniej oddziałują na świat i dzięki nierozdzielności kwantowej tworzą najpierw koincydencje, jungowskie synchroniczności, by ostatecznie wykreować ponadludzkie istoty, które wydają się być kosmitami, choć tak naprawdę są tylko maskami naszych wyższych jaźni. Drugi meta-model twierdzi, że *nie* wszystko jest tworem naszych systemów nerwowych. Kiedy więc przechodzimy na wyższy poziom istnienia, nasze mózgi mogą łatwiej kontaktować się z innymi wysoko rozwiniętymi istotami, co na mocy monizmu kwantowego Bella obejmuje kontakt z ludzkimi i pozaludzkimi, ziemskimi i pozaziemskimi, istniejącymi tymczasowo w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości wysoko rozwiniętymi bytami.

Pozwolę sobie jednak zostawić te dywagacje filozoficzne na później, gdy już przedstawię chronologię moich własnych przygód w Niebezpiecznej Kapliczce. Pamiętajcie, że jest to podstępne miejsce. Może nam się wydawać chwilami, że wcale nie przechodzimy przez Wrota Wtajemniczeń, lecz tylko błądzimy po Wesołym Miasteczku znajdującym się w dość zniszczonym Parku Zdziwienia.